

JERZY ŻUŁAWSKI

Z domu niewoli

Poezje



Nr

KRAKÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA.

1902.

Z domu niewoli.

821.162.1-1



~~903~~

SN 14311

Z DRUKARNI LITERACKIEJ W KRAKOWIE
pod zarządem L. K. Górskiego.

*Nie skargi odzew, lecz nadziei słowo
niech odtąd będzie naszych pieśni strojem:
umiejmy z tego, co gnębi i boli
ukuć dla piersi zbroję stalową,
a znajdziem wyjście wstępnym ducha bojem
z domu niewoli!*

Warszawa.

I.

Huk doróżek. Ulicą płynie bezustanna
rzeka ludzi, pojazdów, koni. Grzmi po bruku,
na zakrętach się łamie, wśród gwaru i huku
kaskadami w uliczki wpada i – zachłanna –

ssie znów z domów i ulic wciąż potoki nowe,
wzrasta, szumi, głów ludzkich pstrą ocieka pianą,
czasem krwią bryźnie, stanie i z siłą wezbraną
toczy znowu przez miasto swe fale stugłowe.

A w koło, jak brzeg stromy, stoją wielkie domy,
a wyżej, ponad dachów wzniesione załomy
kościółów wieże, cerkwi kopuły złociste,

a jeszcze wyżej – niebo spokojne i czyste – –
I tak miasto wygląda, jakby jeszcze żyło,
a nie stuletnią było, otwartą mogiłą...

II.

Poszedłem do Łazienek. Park królewski stary
drzemał w słońcu i ciszy. Na zwierciadle wody
wsparłszy białe, w marmurze wykowane schody,
pałac lśnił przez zielone gęstych drzew konary.

A z drzew na białe barki nimf, na strojne panie,
na przechodniów tłum barwny, gwarny, uśmiech-
nięty
leciał gęsty liść, żółty przedwcześnie zwiędnięty
tu — gdzie niegdyś królowie mieli swe mie-
szkanie...

I tak mi się zdawało, że w tym parku słyszę,
przez gwar rozmów idące i przez nieba ciszę,
łkanie jakieś nieśmiałe, głuche, przytłumione

— z drzew, czy z nieba, czy z ziemi?... Tłu-
my rozbawione:
snadź to drzewa, gdy wiatr je niewidzialny ru-
szy,
płaczą tak... a bez echa w niewolników duszy?

III.

O wspomnienia, wspomnienia! o długie po-
wieści,
których dzieckiem słuchałem, płacząc! O War-
szawo,
z pod uśmiechu mnie zawsze błyskasz twarzą
krwawą;
skróż twe gwary szczęk słyszę walk i płacz nie-
wieści...

To Krakowskie Przedmieście. Płyną tłumy
strojne.
— Czy procesja?... Głos dzwonek, zda się,
srebrny słyszę,
śpiew — urwany, a potem wpadający w ciszę
grzmot wystrzałów, krzyk... Drgnąłem. Nic.
Miasto spokojne.

Idę dalej. W tem — oto przed oczyma memi —
czy to opar krwi duchem wytrysnął z pod ziemi
i skrzepnąwszy w posągu, na płomiennej zorzy
trwa, aż wstanie i zagrzmie i ludy potrwoży?...
Wzniósłem oczy: przedemną stał On, wieszcz,
spiżowy,
król ostatni, z zachodniem słońcem koło głowy.

IV.

A zdaleka, przez błękit, z Zamkowego placu
Zygmunt trzeci nań patrzy. Na szczycie kolumny
już przez długie trzy wieki niewzruszony dumny,
twarzą od bezańskiego odwrócon pałacu,

ponad morze faliste dachów na błękitny
wyniesiony marmuru słupem, o krzyż wsparty,
z szablą w ręku odbywa swe królewskie warty.
Za nim w dali katedry pocerniałe szczyty.

W dole wre życie. Wszystko naokół się zmienia:
miasto, ludzie, kraj, chwała, nadzieje, cierpienia;
trzechwiekowa się pod nim przewaliła burza

i krwią nieraz ociekły pomnika podnóża:
— on przy szabli, oparłszy dłoń na znaku Wiary,
dumą, jak mu Żółkiewski do nóg przywiódł cary.

V.

Czy to prawda? Istotnie-ż to hetman zwycięski
tam na Kremlu zatykał orłowe sztandary?
Powiedz, powiedz, posągu ty królewski stary,
czy to prawda? Jak wierzyć... po stu latach
klęski!

I ty królu...? Gdzie świadki? W Stare Miasto idę
pytać domów, co z wązkich ulic swych widziały
tryumfalne pochody ongi — za dni chwały,
a dziś widzą niewoli pęta i ohydę.

Lecz domy milczą. W kręte wciśnione zaułki
fasady swe strzeliste, dachy i przyczółki
przytulają do siebie, okiem szyb ponurem

patrząc w miasto, co tam się za zwałonym murem
wciąż rozrasta, im obce, błyszczące w oddali
i na ludzi, co w wielkich domach żyją mali.

VI.

Tum mię porwał. Płynęła ludu ciżba mnoga
ku Wiśle, gdzie w powietrzu ponad płowe fale
mostu szkielet olbrzymi rozparł się zuchwale
sztab żelaznych żebami. To na Pragę droga!

I uczułem, że coś się we mnie iść tam wzdraga:
tam pod stopą z pod bruku wytrysnąć gotowa
krew rozlana przez dzikie hordy Suworowa,
niepomszczona – i wołać: zzuć obuwie! Praga!

A po co lud ten idzie? na jakie obchody?
czy Ojczyzny tam płakać nad brzegami wody
i trącać harfy smutne, na drzewach wiszące,

gdy już mieczów nie zdzierzą jego dłonie drżące?
– Tam muzyka, chorągwie i światła jaskrawe:
do parku Aleksandra lud szedł na zabawę.

VII.

Oczy dłonią zakryłem, bo mi było wstydno
być kamieniem grobowym tam, gdzie nie pamięta
nikt, że pod nim mogiła jest krwawa i święta,
kędy tańczyć — w kajdanach — jest rzeczą ohydną!

Gdzież, pytałem, majestat twego bólu, wdowo,
z którym niegdyś hańbiące nosiłaś powrozy?
gdzie męczeństwa nimb, który blaskiem świę-
tej grozy
czoło twe koronował w upadku, królowo?

Ja tu, pielgrzym, do ciebie szedłem, jak do Mekki,
w twarz nieśmiejąc ci spojrzeć, spuszczałem po-
wieki —
gotów proch twój całować, jak relikwie święte,

mówić cicho, by serce twe — jak dzwon —
pęknięte
nie odjękło na głos mój w jaki zgrzyt ogromny:
a ty tańczysz! — O ludu biedny i niepomny!

VIII.

Szedłem smutny z powrotem i z spuszczoną
skronią,
potrącany w ulicznym zamęcie i łoku,
który przez łzy, co mgłą mi osiadły na oku,
bezcelową się jakąś wydawał pogonią.

Czegóż czekać, gdy wszystko w puch się już
rozwiało?

Czyż nie śmieszna nadzieję mieć i wznosić ducha
tam, gdzie nawet nie tryska już krew z pod
obucha,
ani cisną kajdany — już wrośnięte w ciało?

Jest-że jeszcze i z takiej śmierci zmartwych-
wstanie?...

Wtem — jak gdyby odpowiedź na moje pytanie —
ponad tłumem ulicznym, na ganku kościoła:

zgięty pod krzyżem, ale z promieniem u czoła
Chrystus, z ręką wzniesioną, jakby przez Golgotę
szedł już, jak przez próg, w niebo otwarte i złote —
a napis: *Sursum corda!*

IX.

O Jerozolimo,
smutnych naszych proroków oplakana łzami,
krwią męczenników naszych zmyta! Dziś cię plami
rezygnacja niewoli, co jest ciężką zimą

wieków ziarnu ludzkiemu: ale z wiosną, z wiosną,
gdy światu pękających lodów huk obwieści
Zmartwychwstanie — zakwitniesz ty, grodzie
boleści,
jako sad, co się szatą przystraja radosną!

Bo nie wierzę, by siejba to być miała marna,
co w twą rolę rzucała boleściwe ziarna:
męczenników krwią ziemia pod twym brukiem
żyzna

i są wichry w ulicach, co mówią: Ojczyzna!
i jest krzywdy siew żywy, chociaż utajony,
który wschodząc rozsadza skaliste zagony!

I zstąpił anioł do grobu...

W setną rocznicę urodzin A. Mickiewicza.



Przez drzwi żelazne i kraty złożone,
z ogromnym krzykiem, w nawałnic potoku —
spiżowych dzwonów anioły szalone
z rozwianym włosiem i z płomieniem w oku
wpadły do ciemnej w katedrze pieczary
i tłukły pierśią o kamienne mury.

I z każdą falą powietrza w ciemnicę
nowe zastępy cherubów się parły,
grzmot i błysk niosąc w podziemną kaplicę,
aż w trumnie z głązów drgnął prorok umarły
i rozwarł oczy i spytał anioła:
Czy to Bóg na sąd już uśpione woła?

Lecz orkan głosów tylko jego imię
rzucił sklepieniom, co krzyknęły: Chwała!
A gdzieś ze świata echa szły olbrzymie
zmieszany chórem i katedra drżała
od jęku dzwonów... Więc On znowu pytał:
Czy dzień zbawienia ziemi tej zaświtał?

Anioły zasię: „To dzień Twojej chwały!
Ze serc spiżowych rozlukanych dzwonów,
któremi kraj Twój dziś się modli cały,
lecimy gradem — posłańce conów,
i tu wpadamy, kędy króle gniją,
z wieścią, że pieśni Twe na wieki żyją!

„Ty śpisz spokojnie w głuchym, chłodnym grobie,
a tam Twe imię świeci, jako słońce!
Rozkołysały się dziś dzwony Tobie
i brzmią Twą sławą aż po świata końce —
i serca ludu biją dziś dla Ciebie
ogromnym hymnem, który słyszą w niebie!

„Dla Ciebie szumią dziś dęby i sosny,
dzwoni Ci zboże na złocistym łanie,
pieją Ci leśni śpiewakowie wiosny,
kwiaty się Tobie śmieją, pieśni Panie!
Ojczyzna Twoja szeroka i rolna
wielbi Cię dzisiaj...” On spytał: Czy wolna?...

I nagle zcichły głosy, zgasty świty,
znikły anioły tak przed chwilą tłumne —
i tylko głucho jęknęły granity,
gdy się kładł znowu Wieszczy umarły w trumnę...
— W opustoszałej i cichej kaplicy
lśniła się w gwiazdach skroń Bogarodzicy...

Adam Mickiewicz.



Z ciernia stąpając na gałąź wawrzynu
szła Matka synów marnotrawnych biała;
krwawe jej nogi skula niemoc czynu,
lecz skroń poświęceń olśniła jej chwała —
i szła w wieczornej swoich losów zorzy,
wiedząc, że w wieczność duch ją wiedzie boży.

Aż w poprzek drogi trzej stanęli króle
i trzy bagnety wrazili w biel łona:
„Nie pójdiesz dalej! — tu *ultima Thule!* —
potrzebna jest nam twa złota korona,
bo jest z promieni i blasków uwita,
z pereł, korali, pszenicy i żyta!”

Na rozgraniczu trzech dróg jej mogiłę
z gruzów miast, zgłiszczy wiosek usypali
i dufni w ramion swych żelazną siłę,
łamiąc koronę z pereł i korali
nad żywą w trumnie uragać poczęli:
„Żyje-li duch twój na trupiej pościeli?”

Duch nad mogiłą lkał, nieświadom drogi,
bo chociaż długo w chwale żył na świecie
i plon wawrzynów zebrał z wieków mnogi,
był taki prosty w sercu, jakby dziecię —
i kiedy bożych brakło w niebie znaków,
do nieskrzydlatych był podobny ptaków.

A szli harfiarze gościńcem boleści
w ślad za wionącą szatą białej Matki,
lecz gdy zoczyli krwawy zwłok niewieści
i krwawe pośród chlebnych żyt bławatki,
trzaskali lutnie w rozpacz i grozie,
lub szli, grać w domu wroga — na powrozie!

Bo jeszcze byli z tych, co piersią mleczną
Matki karmieni wyrosli w dostatku,
a fałą losów potrąceni wsteczną,
na ziemi czoła swe kładli, upadku
znieść nie umiejąc, ni tłumić rozpacze,
podnosząc ducha, co nad grobem płacze.

Aż powstał prorok nowego zakonu
z borów litewskich i z czarnych ostępów,
co widział dzieckiem krew pośród zagonów,
słyszał krakanie prometejskich sępów
i rosnać w bólu, grozie i żalości,
uczył się patrzeć w niebo od młodości.

Pieśń mu pastuszą nad Świtezi wodą
zmaćcił jęk Matki i burz głucho echo,
co jako wicher w pierś, mu wpadło młodą —
a już Duch boży tlał nad jego strzechą —
więc wstał i w lutni nowe wiązał struny
stalowe, w których drzemały pioruny.

I boską natchnień umocniony siłą
szedł ducha szukać swojego narodu —
znalazł go w płaczu nad świeżą mogiłą
drżącym z przestachu i zimna i głodu,
ale w promieniach nad dziewiczym czołem
i z smętnym sławy przebrzmiałej aniołem.

Więc z pieśni skrzydła przypiąwszy do barków
wziął go na ręce tak jak matka bierze
i wzniosł go w niebo, gdzie z wichru poswarków,
z srebrnych gwiazd dźwięku są Bogu pacierze,
wyżej, niż mogły krwawe ziemi króle
postać swe oczy i dział swoich kule.

A duch wzniesiony nad pogromu pole
uczył się dumnym być w cierni koronie,
orle mieć szpony i skrzydła sokole
i boże karmić gromy w swoim łonie
i z góry martwym przyglądać się grobom
i wieszczę wzbudzać i wieść je za sobą.

I odkąd ziemską mu zaparto drogę,
wzleciawszy w niebo na skrzydłach proroka,
płynie błękitem nad dym i pożogę,
wiedząc, że droga go wiedzie wysoka
tam, gdzie się Boga znajduje i bierze
w pierś swą, wieczyste z Nim czyniąc przymierze.

I płynie — Gwiazdy skrzydłami potraça,
a gdy dopłynie do kresu swej drogi,
wróci tam, kędy mogiła ziejąca
Matkę schłonęła, i pobiwszy wrogi
gromem, rozwali grób zgnieciony skałą
i w skrach ukaże światu — Zmartwychwstałą!

Fryderyk Chopin.

Był lutnią, w której dusza ludu śpiewa.
Nie mówił: naród! — ale był nim cały;
w nim jego burze złotowłose grzmiały,
łkał smutek stepów, modliły się drzewa.

A że był zrodzon już na grobie chwały,
więc nie tryumfu pieśń szerokozewa,
lecz ból, ból morzem z strun się jego zlewa,
krwawy, gdy blisko — w oddalach już biały...

I jeśli jeno kiedy w dniach ucisku
naród, co niegdyś był szalonym królem,
zgnieciony żalem, obłąkany bólem

płomień swe w jednym zestrzelił ognisku
i jak człek jeden westchnął gdzieś ze spodu
duszy — to On był westchnieniem narodu!

1848.

W pięćdziesiątą rocznicę.



w ziemi trzęsieniu, w błysków huraganie
i w ryku mórz
jawił się wieku upragniony plód —
wschodziło słońce! — Za wolność i lud!

Nad grodów zgliszcza, nad zwalone turmy
brzmiały straszliwe archanielskie surmy,
a dźwięk ich każdy był jak miecz i płomień,
żagiew rozruchów i taran rozgromień
i święta dzwon;
ospałych budził do życia i czynu,
skroń niewolników wieńczył w liść wawrzynu
na bój, na skon —
i grzmiał po świecie wielki i szeroki
w chmury — i wyżej — nad dymne obłoki
przed gwiazdny tron,
skąd Stwórcą krwawy błogosławił trud,
słyszając dział modły — Za wolność i lud!

O przebacz-że nam, Wiekuisty Panie,
że choć nam zsyłasz wolności zaranie,
my, bohaterów krwią tacy rozrzutni,
zgasnąć mu dajem i znów idziem smutni
w jarzma i cień,

że spać się kładziem na ich świeżym grobie,
 w godzinę świtu i o rannej dobie
 bez snów i drzeń;
 że znowu martwe i głuche te błonia,
 któreś tententem wstrząsnął Twego konia, —
 że kona dzień,
 co z za rozbitych łnił przemocy wrót
 w świetnym okrzyku — Za wolność i lud!

Fryderyk Wilhelm IV.

I.

NA RADZIE.

Król do ludu:

Ja wasz książę! i nigdy w życiu nie pozwolę,
aby stanął papieru zapisany świstek
między mną a mym ludem! Jam poświęcon
wszystek:
z woli bożej król! — Naród tam u nóg mych,
w dole!

„Ja sam rządę i nigdy o poddanych wolę
nie spytam, — nie dopuszczę, by jakiś tam
chłystek
dla mnie prawa stanowił, rwąc wawrzynu listek,
który, jak pomazaniec boży, mam na czole!

„Nie potrzebne mi zgoła martwe konstytucje!
— ja sam łączę lud z Bogiem, niby mostu przęśła,
a choć fala piekielna usiłuje stłuc je,

nie upadną! Sam Bóg im użyczy obrony!“
— Tak mówił, a z zachodu ziemia się już trzęśła
i jak rumak zrzucała z grzbietu swego — trony.

II.

PRZED BALKONEM.

Lud do króla:

Racz-że, królu, zejść do nas! prosimy cię
pięknie,
Patrz! na ziemi przed tobą te skrwawione trupy,
to są twoje ofiary, twej przemocy łupy!
Lud przebaczy, jeżeli król nad nimi klęknie!

„Mów! wszak serce drży w królu, kiedy dzwon
zajęknie,
zadrza ziemia i w niebo strzelą ognia słupy,
gardła ulic zawali gruz i cegieł kupy,
a młot krzepko o bagnet stępiony zaszczęknie?”

„A wiesz ty, jak krew w żyłach gra na barykadzie,
gdy trup gęsty za wolność w około się kładzie,
i jak serce się tłucze, gdy ulice ciemne

ogniem zioną, jak smoki straszne i tajemne?
Stamtąd idziem! — z trupami, ale nie z żałobą!
Królu! czapka precz z głowy! wolny lud przed
tobą!”

Racławice.

I.

Naprzód! W ogień! Za wiarę! Za Ojczyznę
waszą!““

— Krzyk ogromny się podniósł; zachrzęściały
kosi:

„Dalej chłopcy na wroga!“ Huf siermiężny, bosi
ruszył lawą, — armatnie kule go nie straszą.

„O! pod Twoją obronę!... Bądź ucieczką naszą,
Marjo święta!“... Huk armat głośzy rannych
głosy;

krw a trupy — — Hej! naprzód przez tych
trupów stosy!

Idą, lecą — i lonty już czapkami gaszą!

I dział paszcze umilkły. Bosy huf siermiężny
zdobył szańce rękoma od roli i pługa —
wiarą w ogień wiedziony i nadzieją mężny...

Potem klękli wśród trupów; cisza była długa,
aż hymn w niebo uderzył — zwycięski, potężny.
— A wódz patrzył — i łez mu popłynęła struga...

II.

W STO LAT:

— Na raclawickiem krwawem byłem polu...
Jasnym słońcem oblane stoją łyse wzgórza,
wielką ciszą pijany gaj u ich podnóża, —
wśród pszennych łanów krwawią się gwiazdki
kąkolu.

Więc to tutaj?... Na wzgórzach tych i w tem
rozdolu?...

Więc tędy przeszła owa chłopów polskich burza,
tu huk armat, krew? jęki? — Świat się w słoń-
cu nurza,
cisza dokoła... Serce zadrgało mi z bólu.

Dwie mogiły przedemną pośród łanu żyta —
tak podobne, jakgdyby nie wrogów, lecz braci
kryły w sobie; kwiat na nich taki sam rozkwita

i ci sami muzycy gnieźdzą się skrzydlaci...
Więc nadarmo krew tutaj czerwona płynęła?
Cicho, słyszę... wiatr? echo? — „Jeszcze nie
zginęła“...

Odpowiedź.

Więc co?! bo wszelka nadzieja zawiodła,
wszystkie się wiary okazały niczem,
mocy nie miały w sobie żadne godła
i wszystko było marzeniem zwodniczem...

K. Tetmajer, Kwestja polska.

Więc nadzieja, mówisz, zgasła?
więc przebrzmiały wszystkie hasła
i rozpaczy już jedynie
trzeba nam się oddać ninie?
Nie tak, bracie, nie! pieśniarzu!
Póki płoną na ołtarzu
całopalnych ofiar dymy,
póki mowy dźwięk rodzimy
strojny w gwiazdy, strojny w rymy
ogniem wzdyma piersi wieszce,
póki ducha lśnią sztandary —
nam nie wolno zbywać wiary:
Polska nie zginęła jeszcze!
To nie mrzonką, nie marzeniem;
to jest prawdą, to spełnieniem
dziejów, co się wiecznem kołem
toczą ziemskim tym padłem
i dowodzą, że nie zmarła
piers, co pieśni jeszcze sieje,

z której przemoc nie wydarła
słów ojczystych ni nadzieje!

W co więc wierzyć — ty się pytasz?
O mój bracie! czy nie czytasz
w pieśniach własnych mocy ducha,
co z pod więzów, z pod obucha
jeszcze wstaje, błyszczący jeszcze,
jeszcze tęcze ma i słońca,
natchnień ogień, prorocत्व dreszcze? —
to nadzieja i obrońca!

Cóż, że wróg nam ziemię bierze,
cóż, że kła nam pacierze,
cóż, że krew się leje rzeką,
że kajdany z nóg się wleką —
póki tylko w ustach płonie
mowa ojców wielka, święta:
nam nie straszny ból ni pęta —
duch w potopie nie zatonie!

Nasza mowa to jest arka;
my wypłyniemy w niej z powodzi,
a gdy fala spadnie szparka,
kiedy Wolność się narodzi
i jak tęcza na błękicie
wszystkim ludom wraz zaświeci

nad chmurami tych stuleci,
w strupieszalej ziemi życie
zadrza nowe, uścisk bratni
złączy ludy zawsze, wszędzie:
to ja-ć mówię, że nie będzie
naród polski tam ostatni!

Więc nam ducha, ducha trzeba,
pieśni więcej niżli chleba,
bo pieśń rodzi i pieśń wskrzesza,
pieśń moc daje, pieśń ocala;
na głos pieśni ludu rzesza,
jako wichrem tknięta fala,
wznosi czoło, wznosi ducha,
rozpotężnia się i żyje,
i jak dzwon, tak sercem bije,
i jak stos, tak ogniem bucha!

My powstaniem i żyć będziemy:
nie miecz, kosa, pług ni brona,
ale harfa rozdzwoniona
życia stanie się narzędziem —
jeno pieśni nam potrzeba,
coby rodem była z nieba!

Anioł nowego wieku.

Jaka cisza na świecie... Śniegi miękkie leżą,
gwiazd miliony nad cichą ziemią cicho świecą,
śpi już wszystko — i skrzydła wichrowe nie lecą
wstrząsać białą, śniegową cichych puszczy odzieżą,
nad któremi ukazał się księżyc niecały —
a tak cicho wypłynął, jakgdyby był senny,
jakby wstydził się w głuszy, że taki promienny,
taki wielki i smutny, w ciemnej nocy biały.
Ziemia jakaś zmęczona, ciężka i leniwa,
i bojąca się głosu i cichości rada,
zastygniona i śniegiem białym cała blada,
i szczęśliwa, że śpi już i że już spoczywa...
To noc wieku starego. Nad przepaścią czasów
usiadł starzec przed śmiercią, roi jakieś dumy,
a ze wspomnień się snują widm niejasnych tłumy;
wszystkie jęczą, a wtór im dają jęki lasów
rozplakanych bez wiatru, jedno mocą ducha
wiejącego przez światy łez ogromną rzeką.
Starzec duma — a drży mu włos biały jak mleko,
drżą mu ręce — i blednie, boi się i słucha,
zali z godzin ostatnia na wieków zegarze
nie uderzy... Wybiła! Jak zwalona kłoda
runął w przepaść i wartka go uniosła woda.
Nowy król już na starym tronie światom każe!

Cóż to ludzie? wy śpicie i cicho na ziemi?!
Cóż to ludzie? wy śpicie! Wy śmiecie w noc taką
spać i niebios odwiecznym tam urągać znakom,
które nowy bieg dłońmi wytknęły jasnemi?

Hejże! wstańcie! Czyż nic was we śnie nie porusza?
Czyż nie bije wam w piersi serce jakieś nowe?
Czyż duch jakiś nie kładzie rąk na senną głowę,
nie woła: Jeśli żyje, niechaj wstanie dusza!?

Oto widzę go! Idzie wielki, niebosiężny,
jasną gwiazdę na barkach miasto głowy niesie;
a gdy przez las przechodzi, pieśń się wszczyną
w lesie, —

a gdy idzie przez góry, każdy szczyt potężny
drży jak harfa pod stopą dumnego Anioła, —
a gdy idzie przez śniegi, niwa mu się kloni
roztętniona od kopyt jego białych koni,
które przodem wypuścił i głosem je woła:

*Zbudźcie! zbudźcie tententem wszystko ciche,
śpiące!*

Rozhukanych rumaków tentniące tabuny
pędzą, parskając z nozdrów rozdętych pioruny,
grzyw rozwianych, ognistych falami świecące —
a przed niemi, jak morze wzburzone i białe,
tuman śniegu się kłębi i iskrzy i leci, —
a za niemi na barkach Cherubina świeci
gwiazda, której promieniem łany srebrne całe!

Wstańcież! wstańcież, o ludzie! Niech darmo
nie woła
to zjawisko tentniące rumaków tabunem!
Wstańcie! ruszcie się przecie pod sennym
całunem:
wkrótce będzie już późno! Przybycie Anioła
trwa tak krótko; — a potem dla was noc —
na wieki!
Oto widzę! — już niknie i tentent już ginie...
Już zapóźno! Więc śpijcie... Lecz nim czas
przeminie,
błyśnie piorun i wyżre oko z pod powieki, —
błyśnie piorun i Anioł w błyskawicy stanie,
skinie ręką i tabun rumaków, jak burza,
przejdzie po was, iżeście nie słuchali stróża,
który wieścił wam ślepym dzień na ziemskim
łanie!

Mędrzec.

Sed omnia praeclara tam difficilia
quam rara sunt.

Spinoza, Etyka.

Mędrzec pióro odłożył. Już zakończył księgę,
kiedy uczył znać Boga w wszechświecie jednego,
znać przyrodę — i bliźnich — i siebie samego:
duchem złych namiętności poskramiać potęgę
i być wolnym, cnotliwym być i bogobojnym,
jak stał twardym a mądrym, w nieszczęściach
spokojnym.

Pojrzał: Oto zagadka bytu tutaj drzymie!
Wszechświat się w myśli jego jak róża rozwinął —
nad wszechświatem Bóg błysnął — i w nim
się rozplynął.

On to ludziom objawia! — lecz nie chce, by imię
jego tu stało, — mędrca niegodna to pycha:
on nie umrze, choć Sława będzie o nim cicha.

On tam pójdzie — do Boga — na łono wieczności;
jak ta fala znikoma w morzu się rozplynie,
zmieni postać, czas zrzuci z siebie, lecz nie zginie,
bo on częstką jest Prawdy i częstką Miłości,
którą Bóg się ukochał — i jemu objawił,
mówiąc w duchu, by poszedł w świat i ludzi
zbawił...

Oto dzieło skończone już — i odejść może...
Pójdzie, pójdzie niedhugo! — Piersń mu robak
wierci,
słabe ciało się słania tknięte dłonią śmierci,
myśli jedno w nim świecą jeszcze — jasne, boże.
Uczuł mędrzec, że jako lampa się dopalał, —
ciało gasło, lecz duch w nim przed śmiercią
nie malał.

I raz jeszcze przerzucił księgi swojej karty,
patrzac, czy się przypadkiem gdzie nie wkradły
błędy — —
Wszystko dobrze! blask prawdy z kart wyziera
wszędę;
jak wojsko na bój święty, szereg twierdzeń
zwarty
idzie, — nad nim, jak sztandar, wielkie imię
Boga:
mądrość wzniosła je, palcem wskazując, gdzie
droga.

W górę! w górę, do światła! — Oto widzi plemię
ludzkie w jednym braterskim uścisku związane,
cnotą mocne i wolne, i szczęściem świetlane, —
widzi z grzechów, z przesądów oczyszczoną
ziemię —

na niej mądrość i duchów czystych święty Eden,
nad Edenem, jak płomień: Bóg Wszystek i Jeden!

Wszystek i Jeden! Świat mu zniknął z oczu nagle
błyskawicą bożego imienia schłonięty, —
fal doczesnych kształt zmarniał, w wieczności
odmęty
myśl wpłynęła i orle rozwijając żagle
szła tak dalej i w górę, aż w końcu z wyżyny
ludzi dojrzeć nie mogła, czasu ani gliny.

W dole kędyś tam huczą wieków wodospady
i słońce tysiąc, gwiazd tysiąc przez otchłanie leci
w wiecznym wirze, sto gaśnie i znów sto się nieci;
tam się światy budują, ziemie, ziem pokłady;
tam są ludzie — on wzleciał z pośród ludzi tłumu
tu, gdzie nawet pędzących słońce nie słyhać
szumu.

Dumał mędrzec, a świeca płonąca na stole
złoty blask na powieki przymknione mu kładła —
i po księdze rozwartej tajemne widziadła
migotliwy cień świecy wiódł... Obok przy kole
szlifiarskiem szkła leżały, za których toczenie
mędrzec pieniądz dostawał na chleb i odzienie.

Tak mijały godziny. Płomień świecy spadał
coraz niżej i w wosku już rozlanym tonął;
knot się dopalał; cień już z kątów izby wionął;
wiatr jesienny na dworze dziwne słowa gadał,
bijąc w okno, – lecz mędrzec nie widzi, nie słucha,
przymknął oczy i w Boga patrzy okiem ducha.

I po szczeblach swej myśli począł schodzić na dół:
czas i przestrzeń, jak suknię, wziął znowu na
siebie,
ruch znów odczuł i gwiazdy dostrzegł znów
na niebie;
między gwiazdy się rzucił i na ziemski padół
zleciał skrzydły, jak orzeł, co podniebną jazdą
umęczony z chmur spada na cierniowe gniazdo.

Spadł na gniazdo i skrzydła szerokie roztoczył:
zimne gniazdo chciał ogrzać własną piersią, która
Bogiem jeszcze mu grzmiała, jak gromami
chmura;
chciał je ogrzać – lecz piersi jedno krwią ubroczył:
cierń w nie każdy, jak żmija, wpelznął, a rubiny
krwi ciekły na podłoże z kamienia i gliny.

Oto jeszcze przed chwilą on był z Bogiem jedno,
patrzył myślą w Byt wieczny i gorzał miłością,
czując, że krwią z krwi Jego jest, i z kości – kością

i pił szczęście, przed którym wszystkie ziemskie
bledną:

śnił o niebie, a ze snu bożego się budzi
tu na gnieździe cierniowem, na ziemi, wśród ludzi!

Ludzie, ludzie! – on dla nich szczęścia, światła
pragnie —

a oni?... W walkach, w błocie! Tłum krwio-
żerczy zwierząt!

Kędy spojrzeć – ślepotą, pychą, przemoc, nierząd;
a on marzy, że myśl ich ku dobremu nagnie,
a on marzy, że prawda i prorocze słowo
uzdrowią oczy tknięte ślepotą wiekową!

Spuścił głowę na piersi, – kurczem zgięte palce
ciężko spadły na księgę, zadrżały mu usta,
oko nagle przygasało, zbladła twarz jak chusta,
czoło zmarszczki pokryły – i zląkł się, że w walce
pada, którą zwycięsko toczył do tej pory:
tchu mu w piersi zabrakło, uczuł, że jest chory.

Uczuł, że jest już chory i że w grób mu trzeba...
Szczęścia, które dla świata wyśnił, nie dożyje;
oto smutny, zmęczony jest; puls słabiej bije,
nawet myśli się płaczą, co jeszcze do nieba

szy niedawno... Nad grobem wściekła kłątwa
dżicy
żegna mędrca, co kielich wychylił goryczy.

Jego najbliżsi kłątwy rzucili nań kamień,
ci, dla których chciał szczęścia, wołali: bluźnierca!
ludzi kochał, a nigdzie sam nie zaznał serca —
życie strawił, by z grzesznych błędów i omamień
podnieść ludzkość — a dzisiaj nad grobem
się pyta,
czy nie próżno je strawił? czy szczęście zaświta?

Oto wicher jesienny z szyderstwem się śmieje,
liście żółte i suche miocąc w dal bezkresną;
drzewa skrzypiące skargą wtórzą mu bolesną —
Czyż i jego podobny los? — bez śladu-ż zwieje
wicher losów tę księgę, w którą on swą duszę
wlał dla ludzi? czy zginie w czasów zawierusze?

Jał bez myśli przewracać karty swojej księgi
w poświst wiatru wśluchany, który beznadziejną
pieśń mu zawodził. Patrzył i czytał — kolejno
dowody bożej mocy, wielkości, potęgi, —
dalej zdania o duchu, ludzkich namiętnościach,
cnotach, szczęściu, wolności, o błędach i zło-
ściach.

ale mędrzec spokojnie słuchał wiatru, w świście
jego czując potężne, święte tchnienie boże, —
i szeptał tylko patrząc w swoje życie żmudne:
„Jednak wszystko, co wzniosłe, rzadkie jest
i trudne...”

1896 r.

Z poematu „Kacierz“.

Wyjątek.

ZE WSTĘPU.

I want a hero! – a niech będzie silny,
bo mu ból wielki na ramiona włożę
i sen przeszłości wzbudzę w nim mogiłny,
na czarną przyszłość oczy mu otworzę
i lud postawię przed nim nieprzychylny
a ukochany przezeń – i zaś boże
ognie rozpalę w jego piersi lichej,
co do przystani mu nie dadzą cichej...

Chcę w pieśń tę wcielić wszystek ból i zgrzyty,
wszystkie rozdźwięki, które gnębią ducha,
gdy w nocnych cieniach wierzy w słońc rozświty,
gdy szuka źródeł, gdzie pustynia sucha,
kiedy się czynem chce dźwigać na szczyty,
a rąk nie może uwolnić z łańcucha,
kiedy ostatnią z wiar sadzi na grobie
wiar... Żydzie! mówiąc to myślę o tobie.

Żyliśmy z sobą niedługie dwa lata
i ty, Żyd, we mnie miałeś przyjaciela.
Na mojej ziemi stała twoja chata,
a choć nas język, krew i myśl rozdziela,
jest coś, co silniej nas ze sobą brata,
coś, co się z sercem dopiero spopiela:
to boleść, która nas karmiła obu
w kotłuskach, wspartych o krawędzie grobu

*Ta wielka boleść, która w serca czarze
jest jak trucizna, a zaś dziecka oczy
w przeszłość porywa, a młodzieńców twarze
zwraca na przyszłość, a skroń mężów tłoczy
wczesnie ku ziemi, a starcom w grób każe
i z tysiącami człowieka jednoczy
a wraz z miłością nienawiści uczy,
goryczą dziadów sycąc mózg prawnuczy.*

*Każdy z nas płacze ogromnej mogiły,
która w swem łonie cały naród kryje,
naród, co w grobie ma otwarte żyły
i jak okropny upiór, w grobie żyje,
a chociaż powstać zmartwych nie ma siły,
w ciał zmartwychwstanie wierzy – i nie gnije,
a czasem z trudem wznosząc się ku górze,
wstrząsa grobowcu drzwiami, strasząc stróże.*

*W zimowe noce i letnie wieczory
tyś się przedemną, jak bratem spowiadał,
który był słuchać i rozgrzeszać skory;
tyś mi o przejściach swego życia gadał,
nadzieje swoje malował i zmory,
marzył, przeklinał, modlił się i biadał, –
jeszcze dziś słyszę twe słowa namiętne:
strofy me same chylą się im chętnie...*

*A więc się duchem stań mojej powieści!
To, coś mi mówił, powtórzę tu wiernie,
jak echo...*

Z PIEŚNI PIERWSZEJ.

I.

Jestem z narodu, który stworzył Boga
i na krzyżową śmierć stał Jego Syny;
co miasta walił grzmotem swego roga,
skinieniem morskie rozwierał głębiny,
wstrzymywał słońce, gromił ogniem wroga,
zrodził Krzyż czarny i Półksiężyc siny —
i w pysze cały dobytek z stuleci
dla tych wyrodných marnie strwonił dzieci!

II.

Boga darował im, sześć dni tworzenia
i jeden ciszy, raj, który nad głową
Adama szumiał, proroków natchnienia
i słów dziesięciu księgę granitową
i pierworodztwo swe i swe cjerpienia
i moc i ziemi swej przeszłość wiekową,
świętoście, wszystko! — aż ostał śród ludzi
nędzarzem, który litość jeno budzi!

III.

I za tę... szczodrość! to wybrane plemię
dzisiaj parjasem jest wśród ludów świata!
Bóg mu w dziedzictwo oddał całą ziemię,
a ono próżno do chat swych kołata
i wznosząc oczy ku Jeruzalemic,
czeka już wieki i rachuje lata
i jeszcze wierzy w proroków swych słowa
i z twarzą na wschód swe umarłe chowa.

IV.

Ileż pokoleń tak już w grobach czeka,
skróż ziemi patrząc z pustych oczodołów
w stronę, gdzie niegdyś u złotego wieka
Arki ogniste skrzydła Archaniołów
obietnic strzegły, które dla człowieka
Pan w głazie wyrył.. O! cięższa nad ołów
ziemia dla trupów, którym w grobów bramie
Śmierć powiedziała, szydząc, że On — kłamie!

V.

Co rok za życia w Paschalną sobotę,
jakby wędrowcy, którzy już u promu
stoją, mówili, chleby łamiąc złote:
Dzisiaj w niewoli, za rok będziem w domu...

A obca ziemia skryła ich tęsknotę
i śpią ich syny — lecz jeszcze jest komu
powtarzać w dzień on po dziadów zwyczaj:
Dziś na wygnaniu, jutro w naszym kraju...

VI.

O! jakaż miłość jest u tego ludu,
który nie widział nigdy swej ojczyzny,
a żyjąc pośród zniewag, nędzy, brudu
i nowe rany w stare biorąc blizny,
wytrwale czeka tyle wieków cudu
i wzdycha zdala do swej ojcowizny,
o której często nie wie, kędy leży,
lecz że tam wróci — on lub wnuki — wierzy.

VII.

Bo tak Jehowa rzekł... a wieki płyną...
Bo tak Jehowa rzekł... a rany bołą...
Bo tak Jehowa rzekł... a wierni giną...
Bo tak Jehowa rzekł... a ona rolę
groby się ciągną w dal i w dal gdzieś siną...
Bo tak Jehowa rzekł, — a Jego wolą
stoi ta ziemia i niebios posowa, —
a my cierpimy — lecz tak rzekł Jehowa.

VIII.

I ja wierzyłem w Jehowę, co włada
gromem, a naród swój pod skrzydła chowa,
a w dniach ucisku prorokami gada,
a wiekom każe spełniać swoje słowa,
a jako pasterz broni swego stada,
a jak Mojżesza kolumna ogniowa
naród wybrany wie dzie przez pustynie;
a kto weń wierzy — wierzyłem — nie zginie!

IX.

Wierzyłem niegdyś, że mój naród cały,
tak nieszczęśliwy i taki zdeptany,
ma w swoim łonie świetne blaski chwały
i wielkie ogni złocistych wulkany;
że dość zapukać sercem, by z pod skały
zimnej i brudnej wyszedł duch świetlany,
skrzydła roztoczył i — nad ziemską glebą
lud dziś płaczący — jutro uniósł w niebo!

X.

Czegóżem musiał doznać, ile przeżyć,
nim się dziecięce wierzenia rozwiały!
jakich tajemnic strasznych głąb przemierzyć,
jakich burz duszą przetrzymać nawały,

zanim przestałem tak dziecinnie wierzyć
w Boga i naród — te dwa ideały,
które mi życie malowały tęczę,
a dziś — pomarłe — jak upiory dręcą!

XI.

Dziś wiem: krzyk ludzki nie wyrzeźbi skazy
na sercu bożem ani od zagłady
zbawi; wiem: naród mój nie jest bez zmazy
a do win dawnych nowe przydał wady;
lecz nie rozpaczam ani się na głązy
grobowe kładę bezsilny i blady:
jak grosz ostatni, co broni od głodu,
z rozbicia-m uniósł moc: miłość narodu!

XII.

Kocham go takim, jaki jest. Spodlony
i nieszczęśliwy ma całe me serce —
a nie z litości, że bez ziem, korony,
pędzi we wzgardzie dni i w poniewierce,
lecz że jest żywy i niezwyciężony
przez tę moc ducha, co, choć tli w iskiecce,
żadnym się nie da przytłumić zawodem,
— i za to jeszcze, że jest mym narodem!

XIII.

Więc nie łzy niechaj ze mnie ma w ofierze
nie próżne żale i bezpłodne skargi,
lecz niechaj gromy z piersi mojej bierze,
niech żar proroczy bierze z mojej wargi,
niech z mego ducha ma dla skrzydeł pierze,
z ręki — drogowskaz, co przez życia piargi
ścieżkę wytyka twardą i mozolną,
ale wiodącą na wyżynę — wolną!

XIV.

To moja miłość, a gdzie czyny moje? —
nie wiem... Śnię czasem, śnię w bezsenne noce
w rozwianych włosach bożej siły zdroje
i wzbierające Samsonowe moce
i łoskot świętyń, — lecz razem się boję
czynu, a dusza we mnie się szamoce,
bo nie wie, czy ma dość silne ramiona,
a czyn jej jeden pozostał: Samsona!

XV.

Możebym wolał, gdyby tak nie było,
możebym wolał, gdyby w sercu mojem
słońce, miast krwawej pożogi, świeciło,
wszystko pogodą tchnęło i pokojem;

możebym wolał, ale nad mogiłą
wzrosłem, nieszczęściem, wzdardą i rozstrojem
karmion tak długo, ażem uczuł w sobie
nienawiść! Gorzki kwiat rośnie na grobie.

XVI.

Szczęśliwi, którym w ojczystej zagrodzie
pod starym klonem mówią dziejów księgi
o wolnym w swoich dzierżawach narodzie,
o czynach sławy, wielkości, potęgi —
a nie o biczu wroga, co grzbiet bodzie
schylony podle, krwawe drąc w nim pręgi,
i nie zabija nawet, lecz bezcześci,
kradnąc męczonym majestat boleści!

XVII.

Szczęśliwi, którzy na ojczystej ziemi
wzrosli, jak dumne i podniebne drzewa
i sok z niej czerpią, korzeniami swemi
głęboko w gleby swej wwiązani trzewa, —
a choć na wicher także nie są niemi,
stoją, bo ziemia w nich swe siły wlewa...
Ja, gdy mój naród zechcę objąć wzrokiem,
muszę krąg świata cały przebiec okiem!

XVIII.

Nie mam nic z tego, czem ojczyzna darzy.
Świetność po wiekach widna, choć miniona,
w źrenicy mojej dumą się nie żarzy;
od bohaterskiej krwi ziemia czerwona
nie rozplonila ogniem mojej twarzy,
ani bijące sercem mogił łona
w pierś mi wszczepiły wielkości zadatek —
bo ja z tych jestem, co nie znali matek!

XIX.

Dla mnie nie szumiał nigdy cedr Libanu
ani mi pachły jerychońskie róże,
mnie nie kołysał do snu plusk Jordanu,
anim stał kiedy na Syońskiej górze,
skąd się świątynia niosła w niebo Panu
złocistym dachem, skąpanym w purpurze
słońca, gdy w morzu zapada i ginie,
złocąc winnice, palmy i pustynie...

XX.

We śnie jam jeno widział kraj ten święty,
tę obiecaną ziemię — i straconą!
W marzeniach w wszystkie-m ją stroił ponęty
i taką mam ją tu w piersiach, wyśnioną,

taką tęczową, że się na okręty,
przez wodę jak łyzy niewolników słoną
do niej płynące, sięść boję, by jawa
nie struła złudy, co w snach moich stawa.

XXI.

We śnie ją widzę, — tę ojczyznę moją!
Złoci mych nocy marzenia ponure,
a czasem szczęknę machabejską zbroją,
czasem na oczy rzuci krwi purpurę;
dłonie jej w piersi mojej harfę stroją,
oczy jej wznoszą mego ducha w górę:
ta senna mara moc mi daje czynu,
bo, kiedy przyjdzie, mówi do mnie: Synu!

XXII.

A skąd ja znam ją? nie wiem. Zmartwych-
wstała
z ksiąg, gdzie w litery tajemne zaklęta
proroków duchem, w kart szeleście spała,
jakby w palm szumie, — a usta ocknięta
w rytmie mej wschodniej krwi się rozegrała,
krwi niewolnika, co jeszcze pamięta,
czem ojce byli i miewa widziadła
w domu niewoli, choć snu syt i jadła...

Stance o pieśni.

...albowiem Poezją jest to wszystko,
co sprawia, że nieistniejące rzeczy
istnjącymi się stają...

Plato, Symposion.

Strofy te, w roku 1896. napisane, po raz pierwszy wydane bezimiennie w Krakowie w lutym 1897., powtórzone tu są bez zmiany — z nielicznymi jedynie opuszczeniami, — lubo treść ich nie odpowiada już pod wieloma względami dzisiejszemu stanowi rzeczy, który w przeciągu pięcioletnim znacznie i na korzyść się zmienił. Rosną już duchem ci, o których strofy te były wołaniem. Innym — jeszcze się przydadzą.

1901 r.

J. Ż.

I.

Pieśń mię nie nęci, która tylko jęczy,
gdzie śpiewak własne tylko śpiewa bóle,
w której ogromne serce nie zadźwięczy
ni się odezwą wielkie Duchy-Króle, —
a jeśli błysnie czasem rąbkiem tęczy,
to zaraz gaśnie w tej rzeczulki mule,
z której wybłysła, jak brama barwista,
ale daleka, i zimna — i mglista...

II.

I choćby nawet perlami fontanny
pieśń ta się skrzyła i błyszcziała rosą:
wielkiego echa dźwięk nie znajdzie szklanny
ni ją Anioły pod niebo zanosą!
Nie idą w błękit ślazy ni dziewanny,
zrzynane rychło ostrą czasu kosą;
wśród zniszczeń dęby jedno patrzą w górę,
i świerki — szczytne, dumne, choć ponure!

III.

Dzisiejsze piosnki — maleńkie, jak kwiaty,
woń tylko dają, barwą pieścą oko, —
lecz gniazda na nich nie zwije skrzydlaty
goniec niebieski, ani się wysoką
koroną wzniosą, by pojrzeć za światy,
nim bez ech zginą pod prochu powłoką!
Ja sam pieśń taką śpiewałem, a przecie
czując, że inne, większe są na świecie.

IV.

Wiem, że pieśń musi być, jak dzwon potężny,
który umarłych budzi, żywych woła, —
i pieśń, jak orzeł lotem niebosiężny,
z okiem na słońce i z wichrem u czoła, —
i pieśń, jak odgłos strasznych trąb mosiężny
nad Chalcedama rolę, gdzie Anioła
piersi uderzą takich wichrów szalem,
że prochy duchem staną się i ciałem!

V.

I pieśń być musi, jak ludów królowa,
jak sztandar zdarty w kul ognistym deszczu,
i jak w płonącym krzu straszny Jehowa,
i jak pioruny, gdy przy ziemi dreszczu

Bóg na Synaju grzmiał praw swoich słowa --
Taka pieśń musi być -- a taka w wieszczu
święta potęga, jak w Mojżesza dłoni,
za którą poszedł lud wskroś morskich toni!

VI.

Lecz gdzie dziś szukać takiej wielkiej głowy,
co chodzi strojna w promieniste rogi? --
gdzie szukać piersi, która, jak spiżowy
dzwon napelniony sercem, wśród pożogi
czasów ozwała by się w głos wichrowy,
budzący ludy i budzący bogi? --
gdzie harfy, której metalowe struny
umieją błyskać, grzmieć, rzucać pioruny?...

VII.

Oto są harfy naszych mistrzów stare,
harfy pomarłych Derwidów zakłete,
na których oni swą miłość i wiarę
śpiewając, w boje prowadzili święte,
i wielką, krwawą spełniając ofiarę,
na stosach ludy palili wyrznięte --
lub kładąc palce na Zabitej włosy,
wielkie, bolesne dobywali głosy...

VIII.

Lecz któż dziś ruszy harf tych święte łona?
Pył już wiekowy przysiadł brzmiaące struny,
pieśń, co z nich brzmiała, w echu kędyś kona...
Dziś już na stosy nie zlecą pioruny,
ani rycerzy grześć będzie natchniona
wróżka, pisząca na kamieniach runy
Sławy — i ojca klnąca, że u wroga
zostawił harfę, a w niej ludu Boga.

IX.

O! są te harfy, jak cedrowe trumny,
a pieśń, jak mumja, śpi w nich i śni — może...
Może się pieśni z granitu kolumny
marzą i ranne ponad niemi zorze,
i okrzyk jakiś ogromny i dumny,
wywołujący słońce na przestworze
niebios — i ziemia ze snu się budząca...
Takie sny może pieśń ma w harfie śpiąca...

X.

Lecz kto ją zbudzi, kto jej powstać każe?...
kto jej marzenia senne ucieleśni?
Kamień na grobie, przy kamieniu strażę
wołają: niemasz zmartwychwstania Pieśni!

A ona — słucha w grobowej pieczarze
i дума tylko, że my, nowocześni,
niegodni cudu, ni grobu pęknięcia,
ni jej widoku w chwale wniebowzięcia!

XI.

Czyż znikczemniałe epigonów plemię
poszłoby za nią, jak chadzali ojce?
czy by jej śladem wkrąg obiegło ziemię,
z puszczy — na Tabor — i w cierpień ogrojce?
O! stokroć lepiej dźwigać grobu brzemię,
niżli wyjść na świat, gdzie złożone kojce
są z papugami, lecz niema w lazurze
orłów, w słoneczne lecących podróże!

XII.

Chciałbym, by serce moje, w pieśni dreszcze
wcielone, brzmiało, jak muzyczna fuga;
a zwrotka pierwsza: *Już pomarli wieszcz!*
Niech się narodzą znowu! — zwrotka druga.
Choć pierś ma słaba, póki głosu jeszcze,
wołać tak będę, świętej Pieśni sługa —
bo to wam powiem raz trzeci i setny,
że wieszcz ostatni zmarł już — a bezdzietny!

XIII.

On! co przez czyściec idąc i przez piekła
wołał: O Panie! kędyż jest to — trzecie!...
Krew mu wtórzyła, która z krzyży ciekła,
a głos mu odrzekł: Niemasz nieba w świecie
ludzi dzisiejszych! — -- Jego myśl oblekła
w ciało dawnego świata wielkie dziecię, —
i szedł Irydjon w kraj mogił i krzyży,
lecz zbłądził w drodze — a czas leci chyży...

XIV.

A my — rozbitki — gnani falą czasu
darmo błagalne podnosimy dłonie:
gwiazdy nie świecą i niemasz kompasu,
któryby drogę pokazał przez tonie
pełne wściekłego bałwanów hałasu;
a my — jak trzoda na pustym wygonie:
wilcy dokoła, pasterza nie staje,
co za swe owce własną duszę daje.

XV.

O! był-ci pasterz! — Słyszycie? — gdzieś z dali,
z przeszłości mroku jakiś głos dolata:
nad świat się wznosi, grzmotem w niebo wali —
od echa grzmotu drżą posady świata,

a Czas zdziwiony, nieruchomej fali
podobny, patrzy: kto w Wieczność kołata? —
To Tytan wezwał na bój święty Boga
za lud swój nogą przygnieciony wroga!

XVI.

„Ja milion jestem! — woła — bo mam serce,
co kocha, cierpi za ludów miliony! —
jam jest wiecznością ukrytą w iskierce
życia, — jam duszą w mój naród wcielony, —
a mocy żądam, by lud w poniewierce
ginący podnieść! — daj jej, bo w Twe trony
uderzę straszny mego serca gromem
i wtargnę w niebo startych ziem wyłomem!...“

XVII.

Pieśni rycerze, buntownicy wieczne,
duchem do nieba po wawrzyn się darli —
a z krzyżem ciężkim szli przez drogi młeczne,
a gdy na krzyżu — zwyciężając — marli,
sztandar i czary goryczy konieczne,
których się boją ująć w rękę karli,
w dłonie swych uczni-buntowników stali —
i *Consumatum* mówiąc, umierali.

XVIII.

Oto trzy były krzyże na Golgocie
i trzy na krzyżach przygwożdżone Słońca;
a jedno w tęczach, miało gromów krocie
w ustach, — a drugie było jak obrońca
czasów i szermierz ducha w świętym locie, —
trzecie, jak matka, z miłością bez końca;
a wszystkie były krwawe i zbolące,
lecz pod powłoką krwawą wewnątrz białe.

XIX.

A co? — pod krzyżem, ot, uczni gromadka,
zgorszeni, smutni i pełni zwątpienia;
a co? — pod krzyżem, ot, zboląła Matka, —
choć się siepacze szydzą z jej cierpienia,
ona przy synach jedna do ostatka
wytrwała: serce matki się nie zmienia!
Uczniowie trwożni poszli skryć się w domu,
kielicha myrrhy wziąć nie było komu...

XX.

O nie! nie padła w proch prześwięta czasza!
dwaj ją podjęli, dwaj wierni uczniowie!
Jeden z nich woła głosem Jeremjasza
i chodzi w wieńcu cierniowym na głowie;

drugi na grobach śnił — z mogił poddasza
wyszli do niego Pańscy aniołowie,
* a on, rzuciwszy kwiaty, które zbierał
śpiewa jak łabędź —: będzie już umierał.

XXI.

To dwaj ostatni, co się mierzyć mogą
z mistrzów pomarłych nieśmiertelną chwałą,
co idą jeszcze wielkich ojców drogą,
choć wzięli po nich spuściznę nie całą...
Tysiąc u tamtych strun dźwięków pożoga
na bój, do słońca, do czynu wołało,
a dziś — dwie struny zostały na lutni;
ostatni grają na nich — obaj smutni.

XXII.

Tak dwaj lirnicy, niosąc pieśń przez światy,
przyjdą na miejsca, gdzie brzmiało wesele,
a widząc zgliszcza, kędy niegdyś chaty
stały, chwast bujny na ścieżkach i ziele,
rozedrą z bólu na swych piersiach szaty,
płaczem znuzeni usiądą w popiele
i tu, gdzie inni weselu śpiewali,
śpiewają pustce, — wiatr się pieśni żali...

* Te dwa wiersze w pierwszym wydaniu, dokonaniem
jeszcze za życia tego, o kim tu mowa, były zmienione;
dziś przywracam ich pierwotne brzmienie według rękopisu.

XXIII.

A jeden lirnik oszalały bólem
ziemi skrwawionej w dłoń wyschniętą bierze
i woła strasznie do Tego, co królem
jest tam na niebie, czemu Go pacierze
wdów nie wzruszyły, dlaczego nad ulem,
który mu służył tak długo i szczerze,
nie miał litości, jeno ul wywrócił,
mieszkańce pobił, a piewce zasmucił.

XXIV.

A drugi jęków wichru w gruzach słucha
i suchem okiem po zniszczeń obszarze
wodzi — a jest w nim tajemna otucha,
która w nieszczęściu patrzeć w przyszłość każe;
z nią więc zstępuje w tajną otchłań ducha
i, mocząc usta w świętej mędrców czarze,
duma i czeka — lecz trupów nie woła
z grobu, nie wiedząc, czy ich wskrzesić zdoła.

XXV.

Duma i czeka — — Czasem struny pieści,
lecz dźwięk ich głucho pogrobowcom dzwoni,
bo nie pobudkę, lecz wytrwanie wieści...
Gdy kto do wielkich strun odważy dłoni,

starzec w obawie, że się głos zbecześci,
co brzmiał potężnie, świętokradztwa broni:
„O! nie trącajcie ręką nieudolną
struny, co brzmiała chwałą, będąc wolną...”

XXVI.

I jak się dziwić, że tak woła starzec,
który strun dawnych tryumfy pamięta!
Ci, co się nie chcą wielkich pieśni zarzec,
bez czarodziejstwa są — i lutnia święta
w ich ręku sypie nie djament, lecz kwarzec;
a ci zaś, których pierś natchnieniem wzdęta
mogłaby śpiewać, którzy siłę mają,
potężną strunę w lutni omijają.

XXVII.

O! bo stalowa ta struna, nie miękka!
dreszcz jej lutniście dłoń i serce krwawi!
Gdy w niebo bije — świat w pokorze klęka;
zawoła — ludy jak stado żórawi
ciągną; a zagrzmie — to serc tysiąc pęka;
tysiąc się wskrzesza — kiedy błogostawi!
Lecz jest ta struna jako łuk Odyssa:
jedni nie skorzy, innym ramię zwisa...

XXVIII.

Więc śpi ta struna, która trupy budzi
a żywym skrzydła przypina sokole!
Pieśń jej już nie brzmi przy kołyskach ludzi —
więc z znakiem śmierci przedwczesnej na czole
rosną; poczęte życie wnet ich nudzi,
śmierć ich bezslawna, marne działań pole...
I tylko czasem jęczy struna głucha —
woła pieśniarzy, lecz nikt jej nie słucha...

XXIX.

Piewcy się nie chcą jać krwawego trudu,
nie chcą być źródłem, skąd życie wystrzela;
a kiedy rzesza spragnionego ludu
pogardzi pieśnią, co słońcem lat wiele
była, a niczem jest odarta z cudu,
miast natchnąć rzeszę, co się już spopiela,
mówią: „Poezjo! ty parjasów mowo,
kocham cię, żeś jest upadłą królową!” — —

XXX.

Wy się skarżycie, że Poezja padła,
że już królewski swój zrzuciła djadem,
że niknie naksztalt sennego widziadła,
że nikt już w słońce nie idzie jej śladem,

że świat do młota wziął się i do radła,
lub zeźmion piersią dziew i winogradem
woła bluźnierczo, że już nie nie warta
ta niegdyś pani — z purpury odarta?

XXXI.

Wy się nie skarżcie! bo to nie tych winą,
co w pocie czoła pracując, nie słyszą
pieśni, więc myślą, że już wszystko gliną, —
ni tych, co martwą przerażeni ciszą,
złotem się cieszą, winem i dziewczyną:
to wy, pieśniarze, sami szatę mniszą
tkacie królowej, wy najwięcej winni!
świat będzie inny, lecz wy bądźcie inni!

XXXII.

Któż to miał wznosić Poezji sztandary,
i kto pozwolił paść sztandarom w walce?
kto miał dodawać nadziei i wiary,
i kto wychował zwątpienia padalce?
kto miał świat poić z świętej natchnień czary,
i czyje w prochu ją upuściły palce?
kto miał być duchem, który nie umiera,
a przyjął rolę płaczka lub — żonglera?

XXXIII.

Świat zasnął? dobrze! więc go zbudzić trzeba! —
gdy pieśń nim wstrząśnie, ocknie się i wstanie!
Świat wzgardził *Słowem*, łaknąc jeno *chleba*?
a gdzież to *Słowo* wieszczące zaranie
dni nowych, z ziemi wiodące do nieba?
Czy może wasze malutkie śpiewanie
ma zbudzić ludy i otrzeźwić dusze?!
Choć ból mam w sercu wielki, śmiać się muszę!

XXXIV.

Chciałbym urągać, chciałbym śmiech szydery
w oczy wam cisnąć! Wychłostanie szydem
czoło, co mocą nad tłum szary sterczy,
lecz, gnuśne, nie chce być ludu Derwidem,
nie chce się podnieść, na mój głos bluźnierczy
może się wstrząśnie, zarumieni wstydem
i boże w sobie odsłaniając znamię,
czynem da poznać światu, że ja kłamię!

XXXV.

Bogdaj-bym kłamał! — lecz wy dajcie dowód,
wy mi pokażcie, że nie mam słuszności,
że Królów-Duchtów wiekowy korowód
bez przerwy ciągnie i pośród ciemności

oświeca drogę, że i wasz rodowód
jest z tamtych dawnych bohaterów kości,
co nie biadali, że Poezja padła,
lecz duchem slali w nią blask, by nie bladła!

XXXVI.

A wiem -- możecie! I wy macie oko
błyskawic pełne, pełne wichru piersi, —
woli brak tylko, by się wznieść wysoko!
O, bądźcież w myślach potężniejsi, szersi,
świećcie jak gwiazdy nad cieniów epoką,
nie samolubni w uczuciach i szcersi,
nie roztrwaniajcie na cacka potęgi,
purpury ducha nie tnijcie na wstęgi!

XXXVII.

Dziś się papugi zagnieździły wszędzie,
lecz są i orły, chociaż gnuśnie drzemią...
Dla nich ja śpiewam — i mnie dosyć będzie,
jeśli z nich jeden, zbudzony, nad ziemią
wzleci i rzuci pieśń nad skał krawędzie;
-- wtedy się ptaki krzykliwe oniemia!
Jam jest jak Chrzcziciel, co nie działał cudów,
lecz wieścił przyjście Zbawcy pośród ludów!

XXXVIII.

O, niechaj przyjdzie ten pieśniarz przyszłości,
niech przyjdzie Zbawca, bo go nam potrzeba,
jak trzeba ducha dla człowieczych kości,
jak orłom skrzydeł do lotu i nieba,
jak różom słońca, jak sercom miłości,
jak zgłodniałemu na pustyni chleba —
niech przyjdzie! — Wołam tych, co mają siły;
ze mną proroków krzyczą trzy mogiły.

XXXIX.

Do skrzydeł, orły! — jest błękit niezmierny
i wichry, które łamać piersią lubo!
Do szponów, orły! — oto kruk niewierny
gołębim gniazdom w dole grozi zgubą!
Do słońca, orły! — ziemski lud bezsterny,
ciemnością zewsząd otoczony grubą,
błaga was, byście mu wskazali okiem
drogę w obłoki i ponad obłokiem!

XL.

Bądźcie przekłęci, jeśli tych co głodem
swoich wnętrzności, swoich ocz ślepotą
wołają do was, wy, miast życiem młodem
napełnić, oczy ich na gwiazdę złotą

ciemne otworzyć, z szyderstwem i chłodem
precz odepchniecie, — albo przed Golgotą,
którą za cuda faryzeje grożą,
drząc, w własnej piersi skrę stłumicie bożą!

XLI.

Do was ja mówię, co jak złote ptaki
macie lot świetny i krwi swojej rosą
skrapiacie ziemię! Gdy ptak ladażaki,
szczygieł lub wróbel, w górę się nie wzniosą,
to ich nie winić! -- Was w podniebne szlaki
do słońc tęsknota i piór groty niosą --
więc zamieniajcie w czyn waszą tęsknotę,
lećcie, a innych wznóście, ptaki złote!

XLII.

Bo nie dość słońcu swe tęczowe pióra
w górze pokazać, nie dość śnić o raj,u,
gdy świat śniegowa cieniem kryje chmura,
nie dość się kąpać w własnych łez ruczaju:
lecz walczyć trzeba, aby noc ponura
znikła i dla was, i dla tych rodzaju,
którzy nie znają, co loty sokole,
ni mogą w słońce patrzeć, gdy cień w dole...

XLIII.

A wy nie mówcie: cóż my zdziałać możemy,
my, co pieśniami wojujem, nie mieczem?
wy tak nie mówcie, bo wy słowem bożem
mocni, władacie plemieniem człowieczem!
Wy mówcie raczej: łan, który zaorzem,
wyda plon suty — choć nie my go zsieczem;
drogą, którąśmy wytrzebili z trudem,
lud pójdzie — choć nie my pójdziem przed ludem!

XLIV.

Bo wiedzcie: lud jest zimny — jak prochownia,
ale ma w sobie wybuchy wulkanu, —
a wy jesteście jak ognista głownia!
Lud jest jak tajny bezmiar oceanu,
potwornych czasem burz i walk widownia,
a czasem pełen milczenia kurhanu, —
a wy — jak wichry z anielskimi pióry,
co na płaszczyznach wodne piętrzy góry!

XLV.

Wszak obowiązkiem waszym jest i prawem
wytyczać nowe drogi pokoleniom!
a choć współcześni wam po ciele krwawem
przejdą, ku dawnym się cofając cieniom,

nie przeklinajcie, ani pieniem łzawem
skarżcie się losom, ni dajcie zwątpieniom:
tam gdzie padniecie, walcząc jutra pomni,
świętynie stawiać będą wam potomni!

XLVI.

Nie na dziś wasze trudy i zachody,
nie na dziś walka, cierpienie i praca,
nie na dziś dusz i serc potworne głody,
nie na dziś myśl ta, co świąty wyzląca,
nie na dziś piorun, co budzi narody,
nie na dziś gniew wasz, co turmy wywraca:
z siewu waszego *Jutro* zbierze plony, —
Dziś klnie, że pługiem drzecie łąn w zagony!

XLVII.

To los wasz! Za to, że jako Daniele
walić będziecie drewniane bałwany,
powstaną na was bałwanów czciciele,
w cierń was ubiorą, w łańcuchy i rany,
i w pogardzonym przez was swym kościele,
— póki nie padnie — każą wam kolany
kajać się — głupi! — nie wiedząc, że życie
wschodzi na gruzach, które wy piętrzycie!

XLVIII.

Pieśń nie przynosi na ten świat pokoju,
lecz miecz i głownię! — i nie kołysankę
ma, lecz pioruny w słów swych świętym stroju!
Nieubłagana jest, jako Ananke,
i nie spoczywa nigdy w wiecznym boju,
jako duch świata, który istnień tkanę
wyplata z siebie! — Tylko śmierć spokojna;
a pieśń jest życiem; matką życia — wojna!

XLIX.

Pieśń — ideału wieczyste wcielenie,
a ma na *jutro* wciąż zwrócone oczy,
więc co jej *dzisiaj* wpoprzek drogi stanie,
roztrąca, depce i po gruzach kroczy
naprzód, gdzie błyszczą nowych dni zaranie,
których nie widzą ślepi, lecz proroczy
duch jej to widzi i do światła dąży,
jak nieśmiertelny rozruchów chorąży!

L.

O! bo spokojny byłby świat bez Pieśni!
taki spokojny, jako Martwe Morze,
zastygłe w ciszy i zakrzepłe w pleśni,
nad którym żadne ptaszę nie rozporze

skrzydłem powietrza, — jak trup w grobu cieśni,
któremu blaskiem snu nie przerwie zorze,
ni dźwiękiem żadne w bój wiodące surmy,
ani loskotem walące się turmy!

LI.

A więc tej Pieśni, co dłonią wzniesioną,
bezsenna, w świętym natchnienia oblędzie,
jasnowidząca, gwiazdę oddaloną
wciąż pokazuje i w szalonym pędzie
tententem wstrząsa martwe ziemi łono —
chwała na niebie i ziemi niech będzie:
bo ona życia światów rodzicielka
i duchów pani a królowa wielka!

LII.

Jeśli zaś mówi kto, że na tym świecie
pieśń ma ochłodą tylko być, uciechą,
na kamieniste ścieżki sypać kwiecie,
łzy tylko suszyć pod ubogą strzechą,
pieścić ma, bawić, być tylko jak dziecię,
którego śmiechu smutek płoszy echo,
i złocić ściany wielkiej świata kuźni:
jeśli kto mówi tak — zaprawdę, bluźni!

LIII.

Pieśń ma zadania większe do spełnienia,
niżli na ścieżkach z przed stóp łamać ciernie!
Owszem, nie strąca ona z dróg kamienia,
po których idą jej wyznawców czernie
jej głosem naprzód gnane bez wytchnienia,
by w walce światła dostały! — nie biernie!
Pieśń jest jak słońce, co rolnika znoi,
lecz karmi zbożem, winogradem poi.

LIV.

Pieśń przed oczyma ludu stawiać winna
obrazy, które w życiu snem są jeszcze,
ale ku którym fala czasów płynna
kaskadą leci, za którymi wieszczę
tęsknią. Tęsknota wieszczów wiecznie czynna
krwawe ze źrenic ich wydiera deszcze, --
w kroplach — tęsknoty przedmiot upragniony
łśni, jako tęczy szlak w chmury rzucony.

LV.

A jeśli zdola Pieśń w tłumie rozpalić
świętą tęsknotę do tęczy-przyszłości,
że wstanie gotów na swej drodze walić
wszystkie przeszkody, a rzucając kości

w przydrożne groby, nie będzie się żalić,
jeśli mu tylko odblask tej jasności,
ku której dążył, w oczy się zaśmieje, —
a innym znowu moc da i nadzieję;

LVI.

jeżeli zdoła — to pieśń taka święta,
choćaby nawet ślad drogi znaczyła
mógł tysiącem, choćby ogniem wzdęta,
burzami gniewna, w przelocie paliła
gniazda, bezdomne rzucając pisklęta, —
bo w takiej pieśni jest ta boża siła,
co słońca stawia: nad zniszczeń popiołem
Feniks przyszłości wzniesie się — Aniołem!

LVII.

Taką śpiewajcie pieśń, a jak prorocy
pójdziecie znowu przed ludem, pieśniarze!
A jeśli kiedy Samsonowej mocy
zbywszy, padniecie pod obce ołtarze,
wierzcie, że wróci siła w zwątpień nocy
i zaś zdołacie na więzień filarze
wsparci, tak sercem w ten filar uderzyć,
że padnie — choć wam chwili tej nie przeżyć!

LVIII.

Nie przeżyć -- ciałem; lecz ten duch, co wali
fałszów świątynie, ponad gruzy wzleci
i jako gwiazda, co się wiecznie pali,
palić się będzie nad morzem stuleci
i w każdej nowej rozłukanej fali
w niebo skaczącej znowu się roznieci,
i przez wcielania w swych skutkach bez końca
przeżyje ziemie i ziem stare słońca.

LIX.

Jeżeli jednak nie czujecie w duchu
siły, któraby was z zwątpienia dźwiżyła,
jeśli wam woła słabnie w marzeń puchu,
serce zamiera i pierś już ostygła,
jeśli spoczynku pragniecie, nie ruchu,
skarżąc się tylko, że wam myśl nieścigła
czasem sny maści, że lud do was krzyczy,
a los podaje pułhary goryczy;

LX.

lub jeśli w własnych słów tkanek pajączą,
własne boleści, w własnych zwątpień sidła
wplątani -- własnej niemocy obręczą
skute ponuro opuścicie skrzydła,

i tylko w własną pierś patrząc, gdzie jęczą
same rozstroje: za marne mamidła
uznacie wszystkie wielkich dusz porywy,
przeto, iż duch wasz *dziś* jest nieszczęśliwy, —

LXI.

wiedźcie: chociażby z ust wam perły, róże
leciały — *jutro* wieków was zapomni!
Bo kiedy wstaną na tej ziemi burze,
które wzniesają sercami ogromni,
w proch pójdą kwiatów, pereł pełne kruże,
a nowych czasów rycerze niezłomni
tych wezmą hasła, jako spadkobierce,
którzy przyszłości dawali swe serce!

LXII.

Nie w dniu dzisiejszym żyje ludów dusza!
Kaźde ich serca uderzenie zmierza
w przyszłość; westchnienie, co pierś ich porusza,
w przyszłość ulata; słowa ich pacierza,
praca ich dłoni, łzy, śmiech, co osusza
wilgotne lica, szczęk miecza, puklerza,
lutni dźwięk, miłość, wiary i nadzieje —
wszystko jak wichur w przyszłość, w przyszłość
wieje!

LXIII.

I tylko ludy tknięte śmierci dłonią
i zstępujące duchem w głąb kurhanu,
choć ciałem żywe, okiem już nie gonią
jutra, nie czują w sobie huraganu,
co w przyszłość pędząc ponad wieków tonią,
tęsknotą zgina kłos ziemskiego łanu...
Bóg takim ludom wieszczów już nie zsyła;
dziś im śmiech może, lecz jutro — mogiła.

LXIV.

My — nie umarli, chociaż śmierć nam sina
w oczy zajrzała! Cielsko martwe leży,
lecz duch dzień boju i walki zaczyna!
Baczcież wy, aby nie brakło rycerzy,
gdy przez wróżbitów głoszona godzina
na wielkim świata zegarze uderzy —
bo ona będzie jak ów Oblubieniec:
dla śpiących ciemność, czuwającym wieniec!

LXV.

Wskrzyszajcie serca! — serc setki, tysiące!
Niechaj powstaną — z grobu i kołyski,
a krwią czerwone, wielkie a gorące,
na czyn gotowe, a w piorunów błyski

na złotem niebie bez drżenia patrzące!
Jeżeli wstaną — dzień zbawienia blizki!
Cudem to zwiecie? — więc działajcie cuda;
działajcie z wiarą, a cud się wam uda!

LXVI.

My jak Wenedów odrodzone plemię
na bój ostatni w piorunowej nocy
wstaniem, by podle jarzma zrzucić brzemię, —
lecz pieśń nam jedna może dodać mocy,
nad miecz silniejsza, wzruszająca ziemię
potęgą, którą władali prorocy —
i cała walka na nic się nie przyda,
jeśli nie zabrzmiał święta pieśń Derwida!

LXVII,

Ale nasz Derwid to nie gołąb siwy,
któremu z głowy włos odarły gromy, —
to nie na kosach córki nieszczęśliwy
starzec grający śmierci — niewidomy;
nasz Derwid w wieńcu płomienistej grzywy,
słonecznem okiem patrzący w ogromy
światów, a z czołem tonącym w błękicie:
pieśń jego będzie nie na śmierć — lecz życie!

LXVIII.

Życie -- co będzie jako walka święta,
walka wieczysta, lecz świadoma celu,
a zwycięstw pełna, bo o światło wszczęta,
gdzie wierząc w sprawę woje mra w weselu, --
jak Gedeona bój, gdzie zrywa pęta
nie broń ostrzejsza ni żołnierzy wielu,
lecz mała garstka wybranego męża
prze pochodniami wroga i -- zwycięża!

1896.

POŚPIEW: *Do pieśni, ludu! do pieśni, do czynu!
Oto już czasów spełniła się czara
i krew z niej zciekła kroplami rubinu --
na grobach życie, i nowa cytara
na piewęcę czeka, i gałąź wawrzynu
na nowe czoło, i nowa ofiara
u stóp ołtarza czeka nu kapłana,
i moc prorokom na nowo jest dana!*

O idei mickiewiczowskiej
słów kilka.

Są rzeczy, które raz wypowiedziane, wyczerpują się zupełnie w tem wypowiedzeniu i powtórzone, wywołują tylko wrażenie nudy lub niesmaku. A zaś są rzeczy, które się proszą, aby je powtarzano często i przez wiele ust i głośno a same niejako odkrywają coraz to nowe strony swej bogatej treści. Do tych należy idea mickiewiczowska. Mówi się o niej ciągle i długo, a przecież jeszcze nie dosyć. Zdaje mi się, że możnaby z niej zrobić rodzaj pacierza, odmawianego codziennie.

Mickiewicz należy do tych nielicznych wielkich ludzi, którzy są chlubą i... racją bytu ludzkości. Nie każda epoka ani kraj wielkich ludzi wydają, a nadto nie do wszystkich jednakowo się odnosimy. Są tacy, których podziwiamy na zimno, wierząc raczej, niż czując, że byli wielcy. Są, którzy za życia wywołują rozgłos ogromny, porywają za sobą tłumy, czyniąc z imienia swego błyskawicę olśniewającą, ale krótkotrwałą. Ledwo umrą, zapomina się o nich, jak o bu-

rzy, która przeszła. I znowu inni, których wielkość zaczyna się dopiero poza grobem, ale trwa wieczyście. Postać ich traci wkrótce rzeczywiste zarysy, otacza stę mgłą legiendy, staje się żywym mitem. Imię ich odrywa się od ciała, które niegdyś żyło, jakby mu za ciasno było w tych szrankach, i przez wszystkich znane, powtarzane, rośnie jak wichur, przestaje być imieniem osoby a zamienia się w synonim czegoś wielkiego, staje się symbolem czegoś, przed czym się ludzie korpą.

Historja nie wielu zna takich ludzi; można ich na palcach policzyć. Przedewszystkiem On, ten największy, co krew swą dał za ród człowieka, potem kilku świętych, paru królów, bohaterów, poetów... Ale wszyscy jednym się odznaczali: byli wcieleniem idei przez siebie stworzonej, a wielkiej, a żywotnej, a płodnej i nieprzemijającej. I to jest właśnie tajemnicą ich nieśmiertelności. Imię ich przeniesiono na rzecz, która nie umiera i jest czczona. Dlatego też oni — ale jedynie oni tylko — zdobyli więcej niż sławę, bo kult pośmiertny. Czci ich się dla idei, którą wyrażali, jak Grecy czcili swych bogów, którzy byli także symbolami sił rządzących światem.

Na rynku krakowskim stoi pomnik Mickiewicza; wkrótce po drugiej stronie ma stanąć pomnik Kościuszki. Nie wybierano, nie urządzano powszechnego głosowania ani nie pytano o radę „przewodników narodu“, którym z naszych wielkich ludzi tu pomniki postawić się godzi; wszyscy czują, że ci dwaj tu przede wszystkim stać powinni: Kościuszko i Mickiewicz. I słusznie. To nie jest przypadkowe. — Kościuszko i Mickiewicz to jedyni z naszych wielkich ludzi, którzy sobie w całym tego słowa znaczeniu na powszechny kult pośmiertny zasłużyli i kult ten mają.

Mieliśmy potężniejszych i większych zdobywców niż Kościuszko: Chrobry na bramach Kijowa miecz szczybił, Krzywousty psom dał na pożarcie plugawe trupy niemieckich najezdników, zagrażał Moskwie Batory; mieliśmy wojowników szczęśliwszych, którzy nie potrzebowali patrzeć na upadek swej sprawy, — i więcej może poświęcających się, którzy tego upadku

przeżyć nie umieli: a mimo to około jednego Kościuszki kult się wytworzył, jego jednego Wawel między króle przyjął, jemu jednemu lud rękami usypał mogiłę, i jeśli chcemy dziś uczcić bohaterstwo dzielnego a nieszczęśliwego narodu, przedewszystkiem jego czcimy imię.

Synonimem poezji, ideałem gienjusza-poety, symbolem natchnienia jest dla nas Mickiewicz. A przecież — nie wiem nawet, czy słusznie czynimy, — nazywając go naszym *największym* poetą. Słowacki większym był artystą, potężniejszym władcą Słowa, płomienniejszym duchem, — Krasiński był głębszym myślicielem i jasnowidzem. A jednak Słowackim się zachwycamy, upajamy, kochamy go i korzymy się przed jego królewskim duchem, — podziwiamy proroczą głębię Krasińskiego, lecz jednego tylko Mickiewicza *czcimy*.

Nie trudno zrozumieć powód czci, którą otaczamy Kościuszkę. On pierwszy po faktycznym upadku Ojczyzny walczył za jej wolność i za nic więcej, tylko za wolność jej; on pierwszy prowadził walkę beznadziejną i nieszczęśliwą a wyrzekł się dla niej wszystkich osobistych nadziei i szczęścia całego; on pierwszy powołał lud za sobą i chciał mu zwrócić ojczyznę, która doń przed wiekami należała... To jest

jego nieśmiertelna idea. Walka za wolność, co „z ojca idzie spadkiem na syna“, odwieczna tragedja, gdzie słuszna i święta sprawa ulega przemocy, — poświęcenie najwyższe, bo to, o którem się z góry wie, że jest nieplodne, braterstwo narodu z krwi i pracy — to wszystko dzisiaj nazywa się: Kościuszko. Kto drugi z bohaterów Polski może stanąć obok niego? Stoi tylko jeden — poeta. Mickiewicz. Jego kult przewyższa nawet kult dla Kościuszki. Dość wspomnieć o jego posągach po całym kraju rozsianych, o wydaniach jego dzieł, książkach o nim, obchodach, uroczystościach na jego cześć urządzanych. Cóż on nam dał, co przeważać mogło te wielkie rzeczy, które pod imieniem Kościuszki czcimy? Jaką myśl, jaką ideję?

Nie darmo uważał Mickiewicz *Dziady* za najdoskonalszy twór swój, nie darmo mawiał, że chce z nich uczynić jedyne swe dzieło godne czytania. Tutaj najbezpośredniej wypowiada swe myśli i to myśli największe...

Dziady spotkał los wszystkich niemal dzieł wielkich: pozostały niedokończonym fragmentem, jak *Król-Duch*, jak grobowiec Juliusza II., *Don Juan* i wiele, wiele arcydzieł, które zda się przekraczały siły człowiecze, choć w ludzkim duchu były poczęte. To charakterystyczne, że wykończył z nich Mickiewicz tylko część czwartą, najwięcej osobistą. Z części trzeciej, tej właśnie, która miała stać się owym jedynym dziełem, godnym czytania, pozostał tylko początek. Mimo to jest w tym ułamku więcej, niż w wielu wykończonych księgach razem. Jest tu narodzenie i pierwszy rozbłysk tej idei, którą snadź sam Mickiewicz uznał za zbyt wielką, aby ją w „literaturze“ dalej rozwijać, kiedy pod koniec dni swych już ją tylko w życiu w czyn wprowadzał.

Jest w tej części poematu początkowa scena, gdzie więzień samotny, zamknięty w celi, duma i zmaga się w sobie, a nad nim walka złych i dobrych duchów, czekających jego myśli ostatecznej. I wtedy więzień, budząc się ze snu, w którym ciało martwe ale duch pracuje, pisze na sobie wyrok: *Gustavus obiit... natus est Conradus...*

To jest chwila przelomowa — w poemacie i w duchu poety.

Kto jest Gustaw i komu, umierając, robi miejsce? Znamy go tak dobrze z czwartej części! To wcielenie gorącego i wyłącznego uczucia, które niezaspokojone i nieodwzajemnione spala się samo wraz z życiem. Gustaw — nie wiem nawet czy kocha, — Gustaw *się* kocha w kobiecie i tą miłością wyłącznie zajęty o własnych tylko myśli cierpieniach, nad własnym tylko straconem szczęściem biada i boleje. Tam na świecie mogą płynąć łzy lub krew, tam mogą wyć wichry i ryczeć gromy, narody powstawać i upadać, słońce może się ćmić: on nie wie o tem, bo on ma świat w sobie, świat zazdrosny, przeczulony, łzawy — z tamtym nie wspólnego nie mający.

Poeta grzebiąc Gustawa, grzebie w swej piersi to, co jest zawsze pierwszą myślą ludzi:

myśl o sobie, o własnym szczęściu, własnym bólu. Ale z pogrzebnego stosu Gustawa wstaje jak feniks z popiołów Konrad, mający być -- czy przeciwieństwem tamtego? -- nie! jego dopełnieniem, formą wyższą, doskonalszą. Zazwyczaj ludzie po zgonie osobistego uczucia budzą się zimnymi i wyjąłowionymi skeptykami; zbyt wiele jednak potęgi było w duchu poety, by się z nim to stać mogło. Nie zgliszcze pozostało po ogniu, którym płonął Gustaw, -- owszem, ogień ten w Konradzie wzmożony i oczyszczony teraz świat cały, cały naród obejmuje.

„Jestem miljon, bo za miliony kocham i cierpieć katusze“. -- W tem jednym zdaniu cały Konrad się streszcza. Obejmuje on miłością swą cały naród, przyciska go do łona „jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec“, -- więcej, utożsamia się z nim tak, że o sobie teraz powiedzieć może: Ja i ojczyzna to jedno! Miłość jego -- to miłość narodu, jego potęga -- to narodu moc, i jego cierpienia -- to cierpienia całego narodu. On nie boleje nad nieszczęśliwym narodem, jak się zwykle współczuje z czemś, co nie jest nami; on czuje bole narodu bezpośrednio, „jak matka czuje w łonie bole swego

plodu". Zaiste, najwyższy stopień mistycznej jedności, którą miłość sprowadza!

A jakże różna ta Konradowa miłość od miłości Gustawa! Podczas gdy miłość tamtego spoczywała na jednym człowieku, jednej kobiecie „jak owad na róży kwiecie“, ten „ukochał cały naród, wszystkie jego przeszłe, przyszłe pokolenia“! Gustaw szukał wzajemności, któraby dopełniała jego uczucie, — a gdy jej nie znalazł, nie umiał zrobić nic innego, jak na swe życie się targnąć. — Konrad, kochając naród, o wzajemność nawet nie pyta; miłość jego potężna i ogromna wystarcza sama sobie, uzupełnienia nie potrzebuje! On jest sam narodem i tak go kocha, jak człowiek kocha sam siebie: bezinteresownie i całą swą istotą. Miłość dla Gustawa była zgubą, tamą wpoprzek strumieniowi jego sił rzuconą, końcem; dla Konrada jest początkiem życia i czynu, źródłem jego potęgi! Tą miłością zbrojny Boga na bój za naród swój wyzywa i nie rozpacza zgóry o zwycięstwie, gdyż czuje swe siły, mogąc powiedzieć o sobie: Ja jestem milion!

Nicby nie mogło być fałszywszego, jak sądzić, że owo zjednoczenie się poety z milionami jest wyrzeczeniem się własnej osobistości. Konrad nie rozprasza się, nie roztapia w na-

rodzie, nie gubi się w nim, lecz bierze go cały w swoją pierś; nie zstępuje ze swego piedestału ku niemu, lecz wznosi go ku sobie i w sobie jeszcze wyżej podnosi! Być miljonem — to znaczy na miliony rozszerzyć swą duszę i tą duszą je w jedno związać. Być miljonem, to znaczy dotrzeć do tych głębin własnej duszy, gdzie pod tem wszystkim, co przypadkowe, ograniczone i przemijające, człowieczeństwo, jak Atlas ziemię, osobistość na swych barkach dźwigające, w wieczystych swych formach istnieje.

To jest owa wielka i nieśmiertelna idea Mickiewiczowska: Miłość wszechogarniająca i ogromna, która za miliony kocha i cierpi katusze.

Kościuszko skryształizował w sobie najświętszy poryw narodu: bohaterską i ofiarną walkę za wolność; Mickiewicz wskazał jego przewodnikom duchowym wieczystą drogę na *przyszłość*: konradową miłość. W tem wyższość poety nad rycerzem.

Gdy się mówi o Miljonie-Mickiewiczu, mimowoli na myśl się nasuwa drugi z „dwóch na słońcach swych przeciwnych bogów“, Król-Duch-Słowacki. On, syn pieśni, syn królewski, on, natchniony sternik duchami napełnionej łodzi, on, który wierzył, że Bóg jemu obronę przyszłości poruczył, mówił do Mickiewicza: przyszłość moja! i moje będzie za grobem zwycięstwo! Nie przejrzał, że Mickiewicz sam był królem pieśni, skrzydlatą łodzią w niebo duchy niosącą i przyszłością samą. Nad tem nie odnosi się zwycięstwa, choćby się było — Słowackim. Nie wynika z tego, jakoby należało Słowackiemu przyznać niższość, — on tylko szedł inną drogą, więcej samotną... Słowacki, chcąc naród wieść ku przyszłości, nie brał go w swe łono, aby go unieść, jak Mickiewicz, lecz orłem sam rwał naprzód wołając: kto silny, za mną! Ale dlatego właśnie czcimy Mickiewicza nie Słowackiego, choć przez to może wydajemy wyrok na siebie...

Zwycięstwo odniosła mickiewiczowska idea. Może, choć trudno w to uwierzyć, może nawet przyjdzie czas, że dzieła Mickiewicza o klasycznej formie stracą już urok, kiedy jeszcze Słowacki będzie budził zachwyt po dawnemu; może istotnie lud wróci się i „pójdzie za nim“, może jego słowa będzie swą miłość śpiewał, w jego imię będzie przeklinał i jego ogniem płonął, — może, lecz nawet wtedy i na długie wieki i zawsze poezji naszej będzie na imię: *Mickiewicz*, a nie: *Słowacki*, — bo Mickiewicz pierwszy dał jej wielką ideję, która ją wielką uczyniła i w życie nasze wplotła.

Gdy Kopernik dokonał swego wielkiego odkrycia, ludzie długo jeszcze pogodzić się z niem nie umieli i na dawny ptolemeuszowy sposób uważali ziemię za środek wszechświata. Śmierć Gustawa i narodzenie Konrada to kopernikowski czyn Mickiewicza w naszej poezji. W pierwszych początkach poezja, jak świat przed Ptolemeuszem, nie miała środka, osi, około którejby się obracała. Wtedy była czystą epiką: każdy przedmiot brała tak, jak istnieje, sam w sobie i bez względu na jego stosunek do podmiotu. — Powstanie czystej, podmiotowej liryki, to system Ptolemeusza w poezji. Kopernik przekonał ludzi, że środkiem naszego wszechświata jest słońce, które ziemi życie daje; Mickiewicz zrobił to samo dla poezji, czyniąc jej osią te ogólne i wielkie idee, które w piersi człowieka ukryte, są dlań życiodajnym słońcem. Ale i jego „system“ nie odrazu mógł zyskać powszechne uznanie.

Mickiewicz w sobie pogrzebał Gustawa, ale w poezji naszej żyją dotąd i pokutują jego upiory. Gustaw, sobą nawet zajęty, był jeszcze wielki, bo wielka była jego miłość, wielkie cierpienie. Dzisiaj pełno dokola śmiesznie małych parodij Gustawa, zajmujących świat swą drobną i nieciekawą osobą.

Często można słyszeć skargi, że to czasy są takie, że społeczeństwo dzisiejsze temu winne. To nie prawda: poeci nie powinni iść za społeczeństwem, lecz mu przodować. Wina tu spada jedynie na bezsilność poetów samych. Żaden z nas nie jest miljonem, bo żaden z nas nie umie być człowiekiem w tem znaczeniu, aby mógł powiedzieć o sobie: *homo sum, nil humani a me alienum puto*. Pierś nasza wązka nie umie pomieścić bólów i pragnień ludzkości, nie umie ich uszlachetnić i ku niebu zwrócić. Albo schlebiamy milionom i, miast milion brać w duszę, sami się w nim rozpraszamy, — albo też jak ślimak przed dotknięciem rzeczy twar-dych, których pokonać nie umiemy, kryjemy się w swą skorupę i nazywamy to pięknem słowem: indywidualność. I tak zabijamy w sobie wszystko, co wielkie i-święte, bo jesteśmy słabi.

Obwołaliśmy bogiem swym Słowackiego,

ale on, zdaje mi się, wyparłby się nas i wyrzekłby się śmiesznych ofiar, które mu składamy. On miał potęgę, której my nie mamy; on szedł sam, ale drogą jasną i duchy porywał za sobą. Dlatego też on będzie żyć wiecznie, a o nas pamięć zaginie...

Ale mimo wszystko: *natus est Conradus!* Ideja się narodziła i trwa. My, choć kłoniemy przed nią czoła, służyć jej nie mocni, to też wiatr czasu nas zmiecie, ale ideja jest nieśmiertelna i wcześniej czy później w piewcach nowych i potężnych ucieleśniać się będzie znowu.

To jest wiara nasza ostatnia. Po nas, upiorkach Gustawa, Konrad przyjdzie. Nie wiemy kiedy i skąd, ale przyjdzie i naród go powita okrzykami: Hosanna! Był Konrad wojujący, co za lud swój Boga na bój wezwał; będzie Konrad tryumfujący, który ciałem uczyni to, o czem tamten marzył, który naród jak pieśń żywą stworzy i to największe a upragnione uczyni dziwo: *zanuci pieśń szczęśliwą!*



T R E Ś Ć.

	Str.
Warszawa	1
I zstąpił anioł do grobu	13
Adam Mickiewicz	17
Fryderyk Chopin	23
1848	27
Fryderyk Wilhelm IV.	33
Raławice	37
Odpowiedź	41
Anioł nowego wieku	47
Mędrzec	53
Z poematu „Kacierz“	63
Stance o pieśni	77
O idei mickiewiczowskiej	109

Tegoż autora:

- Poezje, tom I., wyd. II Kraków, D. E. Friedlein, 1901.
Poezje, tom II., Warszawa, Gebethner i Wolff, 1900.
Opowiadania prozą, Warszawa, T. Paprocki i Ska. 1902.
Prolegomena, Uwagi i szkice, Lwów, Tow. Wydaw., 1902.
Das Problem der Kausalität bei Spinoza, Bern, Verl. von Steiger & Cie., 1899.

Wkrótce ukażą się:

- Benedykt Spinoza, człowiek i dzieło.
Na srebrnym globie, powieść.



7993-01-17

02 06. 1998

2009-64-02

2011-03-1

2013-09-09

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

14311